

"Zawieziemy was do ojca"...

DANUTA CHODOROWSKA /z domu Tarnawska, córka Marii i Antoniego, ur. 25 VI 1935r w Zarudziu, przed zesłaniem na Sybir zamieszkała na plebanii w Zarudziu koło Tarnopola/ mówi:

"Matka była nauczycielką muzyki w szkole w Zarudziu. Ojciec porucznik Wojska Polskiego pracował jako kierownik szkoły w Zarudziu.

Pamiętam jak z mamą odwoziłyśmy bryczką - zmobilizowanego tatę, do stacji we Lwowie.

Od ojca mama otrzymała tylko jedną kartkę z Kozielska z taką treścią: "Maryla, zabieraj dzieci i jedź do mamy, do Krosna".

Z opowiadań wiem, że mama nie chciała zostawić prababci, która z nami mieszkała.

Trudno jej było rozstać się z ładnie urządzonej mieszkanie: meble, fortepian.

W godzinach nocnych, było to w lecie, /daty nie pamiętam/ zbudziło nas szczekanie psa. I zaraz ostre pukanie do drzwi.

Drzwi otworzyła służąca. Nie pamiętam ile weszło radzieckich żołnierzy. My z bratem wystraszeni płakaliśmy.

Żołnierze rozkazali ubrać się, spakować rzeczy, a do mnie i brata powiedzieli: "Nie płaczcie dzieci, zawieziemy was do ojca".

Mama prosiła na kolanach radzieckich żołnierzy, aby pozostawili nas w domu. Mówiła: "Jestem żoną oficera, tutaj w domu będziemy czekać na niego".

Żołnierze wówczas zdecydowanie zaczęli ponaglać, aby szybciej się pakować.

Mama wzięła do wiklinowego kosza rzeczy dla nas i prababci. Służąca chciała jechać z nami, żeby nam pomagać, ale mama nie zgodziła się. Żołnierze nie interesowali się tą rozmową.

Wyszliśmy z naszego mieszkania:

Jeleniek
 Maria Tarnawska
 Danuta "
 Adam Tarnawski

prababcia
 mama ur. 1910r
 córka ur. 1935 /autorka wspomnień/
 syn ur. 1937

Zapakowali nas do ciężarowego samochodu, w którym były już rodziny z Zarudzia.

Zawieźli nas na dworzec kolejowy /nazwy stacji nie pamiętam/ Tam czekały wagony towarowe. W wagonie było dużo ludzi w różnym wieku. Były dzieci młodsze od nas.

Spaliśmy na podłodze, z tym, że wrzucono trochę słomy. Była i dziura w podłodze - jako ubikacja. Wagony zaryglowane od zewnątrz.

Co kilka dni dawali nam w wiadrach zimną wodę. Do wagonu wrzucali wydzielone porcje chleba.

Wiem, że w czasie podróży umierały dzieci i ludzie starsi. Zmarłych na stacjach Rosjanie zabierali.

Ile jechaliśmy, tego nie pamiętam.

Miejscowość Ochra - pierwsza, którą zapamiętałam, gdzie zamieszkaliśmy.

Nasze tutaj mieszkanie, to lepianka z klepiskiem i piecem glinianym. Spimy na pryczach.

Ja z bratem, mama z prababcią, a obok najbliżsi mi wówczas współtowarzysze niedoli: Jadzia z matką /nazwiska jej nie pamiętam i Roman Pioterek z matką/obecnie ks. proboszcz/.

W zimie, mama pracowała przy karczowaniu lasu. Ludzi wozili do pracy samochodami.

W lecie natomiast, pracowała przy zdrapywaniu kolorowej glinki ze skał i proszek ten pakowała do woreczków.

Ja z bratem, w tym czasie, przebywaliśmy w lepiance. W zimie było nam zimno.

Tak długo jak starczyło bielizny, ubrań na zamianę za żywność u miejscowej ludności jeszcze nie cierpieliśmy głodu. Był to jednak krótki okres.

Jak pozostaliśmy tylko z tym, co mama zapracowała, głodni byliśmy stale!

Brat Adaś często chorował, ale nie miała mama dla niego leków, ani możliwości pójścia do lekarza.

Nasza prababcia zmarła w 1941r

Mama w czasie zimy przy wyrębie lasu odmroziła sobie nogi.

Była w szpitalu, wiem że obcięto jej palce u nóg. Ze szpitala wróciła do lepianki, ale do pracy już nie poszła, chorowała nadal.

Modliła się z książeczki - płakała i mówiła do nas: "Co będzie dzieci z wami, gdy ja umrę"?

I stało się 5 II 1943r. Wstała z pryczy, upadła.

Wszyscy w lepiance dźwigaliśmy mamę na pryczę. Powiedziała jeszcze do nas: "Dzieci ja umieram, co będzie z wami"?

Rzuciliśmy się z bratem na mamę z płaczem: "Mamo nie zostawiaj nas".

Ludzie z którymi mieszkaliśmy w lepiance, tego samego dnia zawinęli naszą zmarłą mamę w koc i pochowali w miejscowości Ochra w stepie, gdzie było już dużo grobów.

My z bratem na pogrzebie nie byliśmy. Nie mieliśmy butów. Patrzyliśmy przez okno lepianki.

Po śmierci mamy zachorowałam na rozstrój nerwowy, później - tyfus brzuszny.

Opiekowali się nami ludzie, którzy mieszkali w lepiance. Dzielili się żywnością i tak żyliśmy z bratem około jednego roku. Głodni byliśmy stale wszyscy, od chwili zesłania.

Szukałam pożywienia na śmietniku. Zresztą robili to wszyscy.

W lecie gdy wróciłam do zdrowia, pasłam krowy, bawiłam dzieci, aby tylko zarobić cośkolwiek do jedzenia.

Nasi sąsiedzi z lepianki wystarali się o umieszczenie nas w domu dziecka w Majsku. /Kazachstan/

Do tego domu dziecka jechaliśmy saniami owinęci w koce. Wielbłądy ciągnęły sanie. Odwozili nas sąsiedzi z lepianki.

Po drodze na nocleg zatrzymaliśmy się w chacie, w której paliło się światło.

Drzwi otworzyła nam kobieta i okazało się, że jest Polką. Pani ta /nazwiska nie zapamiętałam/ dała nam jeść położyła spać na piecu. Zapewniła nas, że się nami zaopiekuje, wzięła nasze adresy dokąd jedziemy.

Rano pojechaliśmy do domu dziecka.

W domu dziecka było bardzo dużo polskich dzieci, oraz dzieci niemieckie i rosyjskie.

W sali mieściło się 10 - 15 łóżek-pryczy z siennikami. Do przykrywania mieliśmy zniszczone koce. Wychowawczynie oczywiście Rosjanki.

W domu dziecka dzień rozpoczynał się od odśpiewania pieśni na cześć Stalina.

Później było śniadanie tj. suchy chleb i czarna kawa zbożowa. Na obiad zupa ziemniaczana, ale trzeba było w niej szukać ziemniaków. Na drugie danie, mała porcja kaszy /rozwodnionej/. Kolacja czarny chleb.

Swoje pokoje sprzątałyśmy same. Wszyscy dostaliśmy ubrania, ale były zniszczone. I tutaj również mieliśmy wszy.

Raz w tygodniu chodziliśmy do kąpieli, ale nie zawsze mieliśmy mydło. Bieliznę zmieniano nam bardzo rzadko.

W lecie pracowałyśmy w ogródku przy domu dziecka.

Brat Adaś mieszkał w sali z chłopcami. Mogliśmy się widywać. Adaś chorował ciągle. Obsypany był po całym ciele wypryskami, ~~strupami~~ strupami i wychudzony tak, że wyróżniał się wśród dzieci. Z powodu ciągłej choroby nie chodził do szkoły.

Ja zaczęłam uczęszczać do szkoły rosyjskiej, do klasy pierwszej, w wiosce Majsk.

W szkole tej uczył ^{nas} nauczyciel - rosjanin, chciał się mną zaopiekować. W późniejszym czasie radził mi, abym nie jechała do Polski

Polka u której nocowaliśmy jadąc do domu dziecka, dotrzymała słowa. Odwiedzała nas w każdą niedzielę. Przynosiła nam amerykańskie konserwy rybne, mleko w puszkach. Często odwiedzała wszystkie dzieci na sali. Pocieszała nas i mówiła: "Jak wojna się skończy pomogę odwieźć was do Polski".

Tak było do 1946r. Nadszedł ten dzień. Pani ta /nazwiska nie pamiętam/ załatwiła wszelkie formalności związane z wyjazdem do Polski.

Odwieziono nas do miejscowości Zagorsk k/Moskwy.

Tam nas lepiej odżywiono, ubrano i po dwóch miesiącach, transportem polskich sierot wysłano do Polski.

Na dworcu w Moskwie żegnała nas Wanda Wasilewska, ale słów jej nie pamiętam.

Podróż trwała około jednego miesiąca.

Teraz nami opiekowały się już polskie wychowawczynie. W czasie podróży jedliśmy konserwy, chleb i mieliśmy herbatę.

Po przekroczeniu polskiej granicy, miejscowi ludzie wychodzili do pociągu. Na stacjach dawali nam chleb i ser.

Na wiadomość, że wracają polskie sieroty ludzie bardzo płakali.

Pod Warszawą /nie pamiętam miejscowości/ wysiedliśmy tj. cały transport. Tam lekarze badali nas. Brat był bardzo chory, został w szpitalu. Bardzo płakał, że się rozstajemy.

Ja pojechałam do domu dziecka w Kwidzynie.

Po dwóch lub trzech miesiącach brat Adaś przyjechał do Kwidzyna do domu dziecka, który prowadziły zakonnice.

Ja ciągle prosiłam wychowawczynię, aby być z bratem.

Poszłam ze swoją wychowawczynią odwiedzić brata i na moście w Kwidzynie spotkaliśmy się. Brat siedł z siostrą zakonną do mnie. Wszyscy cieszyliśmy się, a my z bratem powiedzieliśmy sobie że już się nie rozstaniemy.

Zamieszkaliśmy w domu dziecka, w którym ja byłam, z tym że Adaś był na sali z chłopcami.

Babcia Waleria Machowska, która mieszkała w Krośnie, poszukiwała nas przez Polski Czerwony Krzyż.

Od znajomych z Łodzi dowiedziała się, że w rejestrze dzieci, które wróciły transportem sierot z ZSRR są nasze nazwiska.

Do domu dziecka przyjechały dwie siostry naszej mamy. U p. Kierowniczkę sprawdziły dokumenty. Wszystko zgadzało się, ale jak poznać dzieci?

Ja wróciłam ze szkoły, pani dyrektorka powiadomiła mnie, że czekają na mnie ciocie.

Zobaczyłam dwie panie. Miałam z sobą zdjęcie mamy z dwoma siostrami. Pokazałam.

Ciocie uradowały się, bo to i były one na zdjęciu z naszą mamą, a my z Adasiem, że mamy od tej chwili rodzinę.

Tego samego dnia wyjechaliśmy z ciociami z domu dziecka w Kwidzynie do Krakowa.

U cioci w Krakowie byliśmy przez tydzień. Dostaliśmy żadne

ubrania, prezenty. Po tygodniu wujek odwiózł nas do babci do Krosna.

Teraz naszym wychowaniem zajęła się babcia. Ciocie pomagały finansowo.

Ze Związku Nauczycielstwa Polskiego dostawaliśmy, co rok kolonie letnie. Dawali nam również zapomogi. W szkole byliśmy zwolnieni z wszelkich opłat.

Za zgodność: *Chodorowska Danuta*

Danuta Chodorowska
Krosno n/ Wisłokiem
ul. Krakowska 45/66

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska

Krosno n/Wisłokiem 23 VII 1990r